

GŁOS

POWIATU RADZYŃSKIEGO

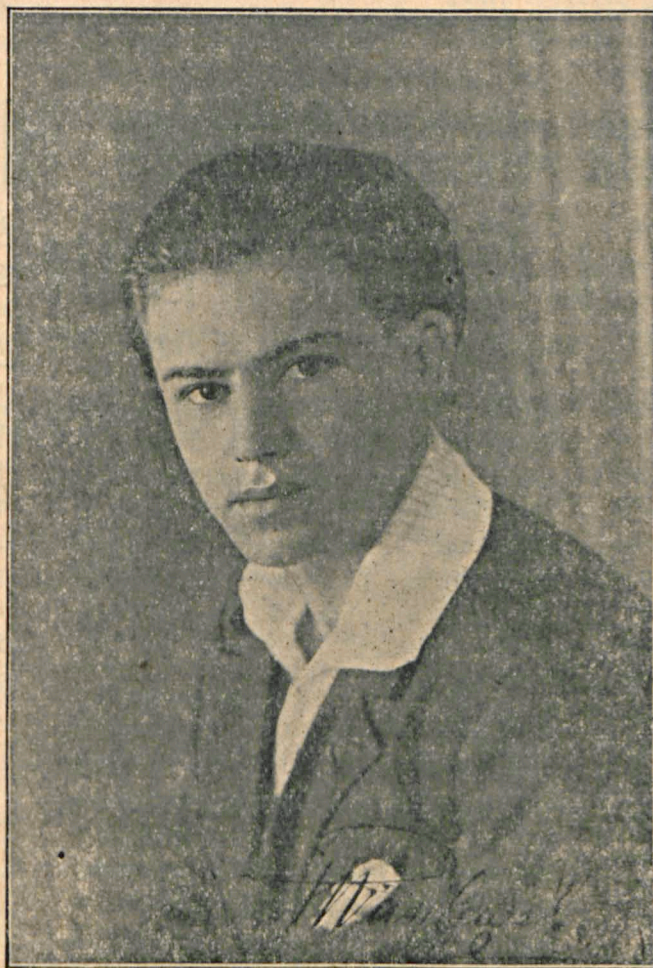
DWUTYGODNIK

gospodarczo-samorządowy i społeczno-oświatowy

NARODZINY POETY

Prenumeratorzy i czytelnicy naszego pisma zapoznali się z niektórymi utworami Franciszka Wasilewskiego, od pewnego czasu ukazującymi się w „Głosie Pow. Radz.". Wkrótce ma wyjść z druku zbiór poezyj tegoż autora p. t. „W ramiona...”.

Pokrótkę charakteryzując, jest to zbiór wierszy lirycznych, które w zawrotności uczuć dochodzą często do dramatycznego napięcia. Tematem ich są najczęściej motywy metafizyczne. Punktem środkowym jest człowiek — jego dusza w okręgu wiecznych zagadnień, z którymi jest zrośnięty i od nich zależny — jak Ziemia i Niebo, życie i śmierć, treść istnienia i cierpienie — a to wszystko



FRANCISZEK WASILEWSKI

obraca się we władczem, panującym zjawisku — czasie.

Pod względem formy cechuje utwory jej różnorodność. Obok znanych dawniejszych postaci strof w poezji, cechującymi się rytmem i rymem, znajdujemy formy nowe i oryginalne — wiersze zakończone asonansami.

W ogólności nie znać żadnych wpływów innych autorów w utworach Fr. Wasilewskiego, co nie często spotyka się u debutantów, a to chyba w myśl zasady programowego wiersza autora „Moje Credo”, w którym mówi, iż — „Z pieśnią się urodziłem! — Pieśń ma samorodna!”

Poniżej zamieszczamy ten wiersz.

Redakcja „G. P. R.”

MOJE CREDO

Z pieśnią się urodziłem! — Pieśń ma samorodna!
 Pieśń moja jest mem życiem, jako żywność głodnym!
 Pieśń moja przyszła ze mną, płynie z głębi ducha!
 We mnie się wciąż rozdzwania, słucha kto,
 czy nie słucha!..
 — Bo wymodlić! — wyśpiewać! — wykrzyknąć! — ja muszę —
 To! — co tkwi w moim sercu! — co rozsadza duszę!
 — Co grzmi struną naciągniętą! — ogniem się rozpala!
 — Drga rytmem we krwi mej pulsie! — twarz
 bledością bieli

I bolem ciężką nocą budzi mnie z pościeli!..
 — Ramiona mi rozciąga, mięśniami gra rytmicznie
 I szalem mnie ukształca w formy póż tanecznych —
 Do taktu bicia serca, — do melodji wnętrza!
 We wnętrzu wsczęta, wyrosła, — płodem pierś rozpiera!
 — Aż w słów brzęku, w gam obłądnie z gardła się
 wydziera! —
 Nie wiedząc jeszcze, czy gdzieś są poeci,
 Czułem, że jakiś inny, niż te inne dzieci,
 — Że mi coś koło serca żyje, drga i świeci!

Coś w mej piersi jak piskłę dziwnie żyło, pukało...
 — Potem całym mną wstrząsnęło, skrzydłami załopotano,
 — I ptakiem rozśpiewanym w świat wyleciało!
 — Skrzydłami krzyżem cierpień ogarnęło ziemię.
 — Z buntem i ze skargą na cierpienie ziemi
 Sięgnęło do zenitu! — do gwiazd! — gdzie Boga znamie!..

To był dla mnie zew!
 — Poczułem w sobie śpiew!
 — Tak rosła ma pieśń.

I ta dzióbem wyostrzonym tajemę życia wierci!
 — Ostrzem tonu przebija straszne widmo śmierci!..
 Zadumaną melodją wgląda w los człowieka
 I płynię żądna, tęskna w zaświaty dalekie...

Tak powstaje pieśń moja w dzień i w noc mozolną...
 Jak myśl niezależna i jak ptak ten wolna!

Ja schwytny w jej władcze pęta ciężkie, złote,
 Porzucić musiałem innych spraw przedmioty!..

I idę za jej głosem, co czary mi odsłania — —
 Idę głodny, posłuszny, — niewolnik — kajdaniarz!..
 — Ona mną owładnąwszy swą potężną siłą
 Wszystko inne z rąk moich zabrała, wytrąciła!..

— Serce mi zostało... — tysiącstrunna lira...
 Po której dłoń zjawisk palcami wciąż przebiera.
 — Serce mi jest wszystkim! — Wieczną Prawdą!
 — — Prądem!
 Formą — treścią — nowością — zasadą —
 poglądem!
 — W niem się wszystko czuciem w kształty strof
 przetwarza
 Na Piękna podstawie, na Prawdy podłożu!

Pieśni! — jeśli cię już nikt nie ujmie serca uchwytę!..
 — Leć w nieskończoność... jak przysłaś gdzieś
 z prabytu!
 A ja ciebie śpiewać muszę po dni mego bytu.

Fr. Wasilewski.



Nie może być różnic między położeniem Polaków w Niemczech a Niemców w Polsce

Trudności, na jakie napotyka mniejszość polska w Niemczech w dziedzinie szkolnictwa, wywołuje w Polsce coraz większe zaniepokojenie. Spokojna i obiektywna charakterystyka położenia Polaków w Rzeszy, zawarta w przemówieniu sejmowym referenta budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych — posła Walewskiego, zawierała w sobie dane, świadczące, że położenie mniejszości polskiej w Niemczech nie odpowiada tym warunkom, jakich wolno było się spodziewać na podstawie kilkakrotnych oświadczeń kanclerza Hitlera.

Fakty 2-letniego oczekiwania na otwarcie gimnazjum polskiego w Kwidzynie, lub zwlekania z udzieleniem zezwolenia na budowę polskiego gimnazjum żeńskiego w Raciborzu, nie wyczerpują zagadnienia, stanowią jednak jaskrawy przykład trudności, jakie napotyka mniejszość polska ze strony władz niemieckich w dziedzinie szkolnictwa.

Rozbieżność między oświadczeniami wodza Trzeciej Rzeszy, a praktyką niemieckich władz administracyjnych i szkolnych jest tym bardziej trudna do uzasadnienia, że jak oświadczył w sejmie

pos. Walewski „nie jest do pomysłenia, aby w państwie, stawiającym naród i jego wartości na najwyższym piedestale, brakło uznania dla integralnej części narodu polskiego, zamieszkałej w granicach Rzeszy przez uniemożliwienie jej pielęgnowania swojej odrębności narodowej.”

Nie mniej istotnym w tej materii jest nie ulegający najmniejszej wątpliwości fakt, że położenie mniejszości niemieckiej w Polsce całkowicie odpowiada wszelkim zasadom poszanowania odrębności narodowej. Kontrast położenia mniejszości polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce najlepiej ilustrują liczby właśnie z dziedziny szkolnictwa. Niemcy w Polsce, których liczba wynosi około 700.000 mają 30 szkół średnich, 400 szkół powszechnych z 55.000 uczniów, 4 seminaria, 4 szkoły zawodowe i 50 przedszkoli z 1.500 dzieci. Natomiast około 1.400 tysięcy Polaków, żyjących w granicach Rzeszy, posiada jedyne gimnazjum w By-

tomiu, 10 szkół publicznych, 58 prywatnych, 15 klas polskich przy szkołach niemieckich, 25 ochronek i 113 prywatnych kursów języka polskiego, nie mogących wobec stanowiska władz niemieckich ulec przekształceniu na szkoły. — Przy tak skromnym stanie ilościowym szkół polskich na terenie Rzeszy, utrudnienia, na jakie napotyka uruchomienie gimnazjów w Kwidzynie i Raciborzu, są szczególnie dotkliwe dla mniejszości polskiej w Niemczech, a zgoła niezrozumiałe w zestawieniu z położeniem i stanem ilościowym szkolnictwa niemieckiego w Polsce.

Spółeczeństwo polskie, odnosząc się do spraw rodaków w Rzeszy z najwyższym zainteresowaniem, pod wpływem napływających z Niemiec wiadomości o położeniu tamtejszym mniejszości polskiej, pragnąc jak najlepszych stosunków z zachodnim sąsiadem, utożsamia je jednak z zawarowaniem równorzędnej wzajemności w traktowaniu mniejszości narodowych - polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce.



Refleksje

Różnie ludzie porównują i określają życie. Życie to walka... Życie to scena... Życie to pielgrzymka... — Życie płynie... Życie mija... Życie idzie... Idzie wielką, szeroką drogą. Idzie z nicości w nicość. Idzie w wieczność.

Idą obok siebie. Mijają się. Odpoczywają. Padają. Podnoszą się. Idą dalej. Śpieszą się. Bo życie nie czeka. Ale właściwie nie o tym chciałam pisać.

Tak minorowo nastroiła mnie prawdopodobnie wiadomość, którą w tej chwili otrzymałam...

Chcę pisać o karnawale.

Tak, o karnawale!

Otóż!

Kto z nas nie marzył nigdy?

Chyba nie ma takich. — Każdy dłużej czy krócej przechodził przez ten okres.

Zresztą ten okres się powtarza.

Młodzi zawsze marzyli, marzą i będą marzyć o maju, kwiatach i słowikach, a starzy o pierzynie,

dobrym jedzeniu i piciu.

Bajka o królewnach, Kopciuszkach, Jasiu i Małgosi, przewija się przez życie od wczesnej młodości. Kiedyś, kiedyś ja bardzo gorliwie zabrałam się do obierania kartofli, a zawsze brałam co najmniejsze, by dłużej posiedzieć. Byłam wtedy Kopciuszkiem i marzyłam...

Aż raz Mama wyrzuciła mój „groszek” i skończyła się moja karjera Kopciuszka. — Że też ci starsi są tacy niewyrozumiali dla młodszych!

Spełniły się potrosze moje marzenia, gdy pierwszą pensję zgarnęłam w obie dłonie i drugie tyle w obie rękawiczki. (Później mieliśmy woreczki z konopianego jedwabiu).

Kupiłam też zaraz ½ kg. salcesonu, który bardzo lubiłam, i 3 m. batystu białego, w niebieskie kółka haftowany. Salceson starczył mi na 2 lata, sukienka też. —

Sukienka była przybrana białym tiulem. Masz sukienkę jak cukiereczek, mówiły panie, nic nie mówiąc o osobie, która tkwiła w tym cukierku. — No, ale to były moje przyjaciółki.

Sumy, które płaciłyśmy wtedy, mogą wszystkich dzisiaj przekonać, żeśmy byli z królewskiego rodu, i to, tego przedwojennego.

Po zakupy jeździliśmy do Warszawy.

Materiał na płaszcz płaciło się za 1 m. po 30-40.000

Kapelusz (z czerwonych piórek)	27.000
Lakierki	150.000
Pończoszki	16.000
Krawat do bluzki	4.000
Kaloszki	25.000

Raz trafiliśmy na „Fausta” a bilety płaciliśmy po 15.800.

Jadło się rzeczy też nie byle jakie.

1 kg. słoniny (może ze słonią) kosztował	8.000
1 cytryna za	1.000
1 kg. marmelady za	3.800

Publiczna odpowiedź Zarządowi Związku Drobnych Kupców w Międzyrzeczu

W Międzyrzeczu ukazała się jednodniówka w języku żydowskim, w której zamieszczono „Publiczną odpowiedź Zarządowi Związku Drobnych Kupców w Międzyrzeczu”. Ponieważ między innymi został dotknięty również i Urząd Skarbowy, przeto dla wyświetlenia sprawy dosłowne tłumaczenie z języka żydowskiego damy w „G. P. R.”

REDAKCJA.

„Ponieważ zwróciłam się do nich na piśmie o wezwanie mnie dla składania zeznań w sprawie ich prezesa, Pana Chaima Uszera Goldmana, a w odpowiedzi oświadczono mi, że inaczej mnie nie wysłuchają, jeśli go przedtem nie przeproszę, jestem zmuszona opublikować to wszystko, by się wszyscy przekonali jakie okropności się dzieją.

W roku 1934 zaproponowano mi bym przyjęła do mojego szynku pewnego inwalidę z koncesją, ponieważ jednak blisko mnie ma skład wódek pan Chaim Uszer

Goldman, nie chciałam z nim zacząć i opowiedziałam mu o tym, pytając go, czy nic nie będzie miał przeciwko temu. Wtedy obydwój, on z żoną objęli mnie jak gdyby chcąc całować, obiecując złote góry i twierdząc, że kto przyjmie inwalidę, nie wyjdzie żyw z jego rąk.

Po tej historii czułam się bezpieczniejsza, gdyż będąc w takiej przyjaźni z „nim”, będę miała same korzyści. A przyrzekł mi niezbitcie: Zbliży się czas, gdy on będzie ustanawiał wymiary podatku obrotowego, wtedy on „będzie wiedział”, jak ma postąpić z wrogami, jak Abram Rozenberg („Bojeche”), względem mnie zaś „potrafi odwdziżyć się”. To było w r. 1934, przed Wielkanocą. Pan Uszer z żoną przyjaźnili się ze mną coraz bardziej, pocieszając i pożyczając co się dało, po świętach Paschy, gdy zaczęło się wyznaczanie wymiarów obrotowego, często do mnie mawiał: Rozenbergowa

(„Bojehe”) będzie mnie pamiętała’ ale was nie zapomnę za wasze dobro.

Przy rozdawaniu nakazów otrzymałam nakaz na zł. 15.300, natomiast za rok 1933 wymierzono mi zł. 13.000 a Komisja Odwoławcza zmniejszyła na zł. 8.000, obecny wymiar więc stanowi dwa razy tyle, źle mi się zrobiło, wszczęłam alarm, zjawił się pan Uszer Goldman z żoną i uspokoił nas, że nic złego się nie stanie, że to jego podstępna robota, by móc Rozenbergowej taką samą sumę wyznaczyć, za to na komisji odwoławczej postara się, bym nie miała więcej płacić jak od 8.000 zł., a może jeszcze mniej, muszę jednak zapisać się na członka jego Związku, wtedy będzie mnie mógł ratować. „Będzie Cię kosztowało 12 zł. rocznie, złożysz odwołanie, a na nim będzie pieczęć Związku, a gdy p. naczelnik zobaczy odwołanie Związku, odniesie się do niego dobrze”.

Za każde odwołanie z pieczęcią Związku brano u mnie po 2 zł. pomimo, że inni pisarze chcieli mi pisać po 50 gr., ale innej drogi przecież nie miałam. Razu

To wszystko płaciło się z gestem wielkopańskim, no i jak każdy wielki pan, miało się długi. (Czy hrabia? — zapyt. red.)

Chyba nie bardzo zmieni to postać rzeczy, jeśli dodam, że płaciło się mkp. (marki polskie).

Ale karnawał?

Zaraz będzie!

Przyjeżdżamy ognistą szkapą. (Zawozili nas zawsze pod dzwonicę, tam gdzie „umerlaków”, ale to nie psuło nam humoru).

Garderoba była na probostwie (naprzeciw dzwonnicy) i ubrawszy się tam „galanto”, biegło się skuliwszy, do budynku obok. Całkiem jak Kopciuszek. Nawet były tam 3 schody, ale pantofelki jakoś nie spadały, bo jeżeli były kupione w Warszawie, to były dopasowane do nogi, a jeżeli robione na obstalunek, u szewca w Międzyrzecu, bo ten chociaż zawsze robił o 2 numery większe (mówił, że nam noga urośnie) to robił sznurowane, lub z paskami „tak przespieczniej” mawiał, „bucik nie uciek-

nie”. No i chodaki te, rzeczywiście trzymały się u nas.

W przedsiönku witali nas Żyd-kowie, którzy już pociągali smyczki kalafonją, i zapach papierosów i wódki. Najmilej uśmiechał się ten, kto sprzedawał bilety. Wchodzimy do wysokiej sali. — Kiedyś tu musiał być klasztor — albo więzienie, przemykała myśl, bo okna są wysoko, pod sufitem. Nieraz też, gdy podczas tańców uczułam delikatne szturgnięcie, myślałam, dlaczego na połowie wysokości nie zrobią drugiej podłogi. Byłoby wygodniej i lżej.

Nierówność podłogi dała się zawsze złagodzić, dzięki dobrym chęciom gospodarzy zabawy. Sy-pali w dołki tyle wosku aż aż się wyrównała podłoga. Dlatego też „same nogi tańczyły”, taka była śliska. Skutki tego dawały się zwykle odczuć przy mazurkach: czarnym około 2-giej (w nocy) i błękitnym około 6—7 godz. rano.

Piszę „czarnym”, bo tak go pewnie nazwał ten kto z wielkim

zamachem „wtańczył się” pod stół bufetowy, a wyciągnięty przy pomocy gościnnych gospodarzy, naturalnie tańczył dalej. Bo jakżeż to! Przecież prawie wszyscy byli kawalerami, więc nie wypadało kłać.

Mazur błękitny odbywał się zwykle przy lampach naftowych i świecach, gdyż elektryczność gasła, wobec silnego zapalania się do tańców. Sadze też unosiły się w powietrzu, osiadały na spocorne policzki, co przy żółtawym świetle może miało wygląd błękitny. Nie można też było pocałować się (przy pożegnaniu) bo twarz byłaby błękitna w białe łatki. (Dziś przy elektryczności to nie grozi, więc można się „pożegnać” nawet przy tangu).

Była też druga pułapka na „o świecie nie pamiętających”. To była blacha przed piecem, który bardzo niegościnnie wysunął swój kadłub na salę, zmniejszając ją o 2m². Blacha ta czatowała na biedne zdarte podeszwy i obcasy. (O

pewnego woła mnie pan Uszer Goldman i powiada: „Gdziekolwiek się poruszyć, kosztuje”. Pytam: Pięć złotych? Na to on: Nie o takich pieniądzech mowa. Wróciłam do szynku, a za mną „pani prezesowa”, która wtajemniczyła mię na ucho, że jutro rano sam „pan prezes” jedzie z odwołaniami do Radzyna, chcecie ratować się — dajcie forszę! Dałam jej 20 zł., a ona ten paperek rozpięła i dmuchnęła, czy niema więcej, skrzywiła się mocno, dodając przy tym: „kto wie, czy za to można będzie coś zrobić.”

Po kilku tygodniach zjawia się do mnie znów „pani prezesowa” i mówi, iż w tych dniach ma się już odbyć posiedzenie Komisji Odwoławczej, „a mój Uszer powiada, że musicie mu dać jeszcze pieniądze, gdyż tam są potrzebne tylko pieniądze”. Wyjąłam jeszcze 20 zł. i dałam jej. Kazał podać go za świadka, gdyż jako sąsiad zna moje położenie.

Co w odwołaniu było pisane nie wiem, bo nie dał mi przeczytać, twierdząc, że wystarczy jak on wie. Po tym wszystkim przychodzi do mnie pan prezes Gold-

man i żąda 10 litrów wina, ponieważ nie miałam więcej jak 7 litrów, prosiłam go, by sobie wziął 5 litrów a mnie zostawił 2 litry. Ze złością odpowiedział: Ja biorę przecież tylko 7 litrów, zamiast 10-ciu! Dobrze, nie dajcie! I wyleciał ze sklepu. Przelekliśmy się, pobiegliśmy i oddaliśmy mu całe wino.

Po pewnym czasie otrzymaliśmy wezwanie Urzędu Skarbowego do wpłacenia 13 zł. Pokazałam „prezesowi”, a on kazał zapłacić z tym, że on mi te 13 zł. zwróci. Zauważywszy tymczasem kilka nowych litrów wina zabrał je, a my ze strachu nie sprzeciwialiśmy się.

Po pewnym czasie zjawia się u mnie z „dobrą nowiną”, że on mi zmniejszył podatek obrotowy na 10.000 zł, i kazał tymczasem płacić całą zaliczkę, z tym, że później mi odliczą nadmiar z roku 1935. A tu zbliża się Wielkanoc 1936 r. Pewnego poranku przychodzi do mnie pan Chaim Uszer Goldman i mówi: W tych dniach ma być wymierzony podatek obrotowy, ja potrzebuję pieniędzy! Wzięłam 10-kę i 2 — 5-ki, razem 20 zł. i dałam mu, a on mnie prosił, bym

nikomu o tym nie mówiła.

Mój mąż zachorował na nogi, nie mógł chodzić, dochodzi do niego „pan prezes” i mówi: Dziś mam ustanowić wymiary obrotowego. Rozenbergowa będzie musiała wykupić świad. przem. II. kategorii, ja ją nauczę. Ja natomiast wiedziałam, że jestem z nim w porządku, bo przecież dostał już ode mnie 60zł. gotówką i 17 litrów wina.

W tym samym czasie otrzymałam wezwanie z Lublina, bym przybyła na sprawę, poszłam z tym do „mego prezesa”, pokazałam mu nie wiedząc jak postąpić, bo mąż leżał, a on na to: Nie potrzeba jechać, ja napiszę list do p. Naczelnika Komisji Odwoławczej i wy też napiszecie, by Naczelnik przeczytał list Goldmana. A za każdy liścik brano ode mnie po 2 zł.

Latem 1936 r. otrzymałam za wiadomienie od Komisji Odwoławczej, że wyznaczyła mi znowu zł. 13.000. Lecę do prezesa i przedstawiam mu, on to zabiera i mówi: Ja już zobaczę! Mężowi gorzej się zrobiło i musieliśmy go przewieźć do Ciechocinka.

tych czasach nasza służąca mówiła: „on w lakierach, proszę pani, aleś lady bosych nóg zostawia”. Otóż piec ten, jak każdy inny przyzwoity, miał drzwiczki, które wysuwały ze swej paszczy, rozgrzanej do czerwoności, zakrętkę (jakby ząb Baby-Jagi), a onach wylała rozfalowane suknie pań. Jedne umykały zręcznie, inne dopiero w ostatniej chwili odsuwały się jakby we wzgardzie, ale niektóre, musiały usunąć rozpalone żelazo i wtedy rozchodził się swąd spalonej ofiary. Bardzo strzegłyśmy się tego miejsca. Bo co miało do tego przebrzydłe piecysko, że suknie były zrobione z płótna i z niebieskiej farbki wypłókane a zaróżowione bibułką? Przecież na każdą zabawę chciało się mieć, jak nie nową, to innego koloru. Nie darował ten ząb Baby-Jagi i mojej, ciężko zapracowanej, owej sukni z tiulem. Wyciągnął mi jeden koniec tiulu przynajmniej na 2 m. Ale raz on (piec) ze zdumienia nie zaczepiał nas. Było to na tej zabawie, gdy między nasze suknie z batysty i markizety weszły dwie jedwabne, granatowe suknie. To zmieniło oblicze zabaw.

Zaczęli się wszyscy dostosowywać.

Na zaproszeniach „stało” napisane „strój wieczorowy”. Dłuższy czas trudno było niektórym panom wytłumaczyć co znaczy „strój

wieczorowy”. Na nasze „babskie gadanie” odpowiadali „przecieżem się dopiero teraz, w wieczór, w to ubrał. Więc tłumaczyłyśmy zniechęconej jego sympatii, że on jest daltonistą, więc nie rozróżnia kolorów. Biedna, nie chciała z nim iść tańczyć! — Buty z cholewami, albo buciki czarne i żółte cholewki (zdaje mi się, że to się nazywało sztylpy) popielate spodnie „galafe” i zielona marynarka z 4 kieszeniami. Pod szyją wyglądała czerwona w grochy krawatka.

Ale ktoby tam długo zastanawiał się nad ubraniem. Żydkiwie na wpół śpiąc, różni od ucha, a a my tak tańczyli, jak oni nam grali. Ale byli i tacy, którzy wedle swego gustu przebierali nogami, mówiąc: co mi tam byle grajek będzie rozkazywał!

Mieli rację. Wogóle na zabawie każdy ma rację! Z tańców modne wtedy było „szimowanie”. O tangu, ani mowy! Taki niemoralny taniec!

Parę razy ks. prałat W. poprowadził kadryla. Cieszył się też bardzo, że my tak ładnie go tańczyłyśmy. Po tańcu, który się ś. p. ks. prałatowi podobał, dostawaliśmy zwykle cukierki. Drugim takim hojnym dla nas był dyrektor z żydowskiego gimnazjum p. H. Brał kosz pełen pączków, obchodził salę dookoła i częstował.

Bywały to niby bale, ale mia-

ły charakter wieczorku rodzinnego. Jeżeli ktoś nie był na jednym balu, wszyscy się o niego dopytywali. Razem było nam dobrze. Sala pustoszała koło godz. 7-ej.

Każdy wychodził rozpromieniony „jak po balu”.

Najgorzej było nam, ze wsi.

Furmanki przyjeżdżały, aż na sumę, a odjeżdżały około 1—2 godz.

Panowie lokowali się na „Górcie”, albo przy bufecie u Kruczyńskiego. — My szłyśmy do kościoła, siadały na stopniach w zakrystii i... drzemały, naturalnie nie okazując tego.

Jakże różny był Międzyrzec wtedy od dzisiejszego.

Była to raczej wieś kościelna (tylko dla żydów Warszawą był Międzyrzec). Prócz 5 lub 6 rodzin polskiej inteligencji byli tu sami mieszczanie—rolnicy. Administracja była murem chińskim otoczona.

Nauczycielstwo przeważnie pochodziło z większych miast Małopolski. Oddalone setkami kilometrów od swoich najbliższych, pracując w bardzo ciężkich warunkach, gdyż o szkole i nauczycielu ludzie tu mieli bardzo „majowe” pojęcie, żyły się razem i stworzyło jakby zawodową rodzinę.

Ale kto wszedł do nas, czuł się dobrze i zostawał naszym przyjacielem.

A przyjaciół poznawaliśmy w biedzie, bo przy pierwszych kro-

Często przychodził pan prezes pocieszać nas, ale nie chciał powiedzieć ile mi wymierzył za rok 1935, ale gdy otrzymałam nakaz na 23.000 zł., wpadłam z płaczem do prezesa. On mi wyrwał nakaz z ręki, twierdząc, że się pomylili. Ja gorzko płakałam, a on do mnie: Płacz wam nic nie pomoże, lepiej żebym nikomu nic nie mówiła z Urzędu Skarbowego i nie prosiła, gdyż mogą mi zaszkodzić w „jego pracy”... i nakazu mi do dziś dnia nie zwrócił. Sama udałam się do Radzyna, do Urzędu Skarb., płakałam i błagałam, opowiadając jakam nieszczęśliwa, a p. Naczelnik odpowiedział: Dlaczego Pani nie przyszła w zeszłym roku? Nie moja wina, jeśli wasz Związek tak robi. Radził mi złożyć odwołanie. W Międzyrzecu musiałam milczeć, że byłam w Ra-

dzyniu, a odwołanie musiałam napisać w Związku Drobnych Kupców, gdyż „p. prezes” nie chciał mi wydać nakazu.

Co mi tam napisano w odwołaniu, nie chciano mi pokazać, bo „pan prezes” nie kazał! Za pisanie kazano mi zapłacić zł. 2.50, a prezes osobno wziął zł. 5.50, miesięcznie musiałam płacić 1 zł. i za każdym razem, gdy miał jechać do Lublina ssano u mnie osobno pieniądze.

Na koniec otrzymałam kilka tygodni temu z Lublina zawiadomienie, iż świadek Uszer Goldman podpisał się, że mój obrót wynosi zł. 15.300. Dowiedział się, że byłam w Radzynie i zabronił mi nadal takich wycieczek, nie słuchałam się go więcej. Bóg przyjął moje łzy i zmniejszono mi z 23.000 zł. na 13.000 zł., ale i to mi za cię-

żko, wypada mi konać z głodu z czworgiem małych dzieci i chorym mężem.

Unieszczęśliwił mnie, gdyż rzeczywisty mój obrót wynosi zł. 3.000, bo z piwa płacę od razu obrotowy, a [z wina także. Interes mój pogorszył się i nie mam co jeść. Patrząc na moje małe dzieci, litość bierze nie do opisania.

„Prezes” chce rzucić winę na innych, ale to jest tylko środkiem do otumanienia niezaradnych drobnych kupców w Międzyrzecu, których trzyma w swoich łapach i na ich karkach on osiadł i jak wampir ssie ich ostatnią krew — krew biednych, wynędzniałych ludzi.

Niech wszyscy o tym wiedzą i osądzą!”

(—) BEJŁA ŁAZER.
Rynek 25.

kach zawodu nauczycielskiego, w ogromnej tęsknicy za domem rodzinnym i jego ciepłem, w warunkach o których nie mieliśmy pojęcia.

A mieliśmy wtedy zaledwie po lat kikanaście. Mogliśmy się łatwo załamać.

A żeśmy się nie załamali i wytrwali, możemy chyba tylko zawdzięczać naszym Rodzicom i tak nielicznym wtedy naszym Przyjaciołom.

Zaczęłam w takim tonie i kończę też z bemolami.

Dzisiaj jest inaczej!

A jednak... Jednak takich serdecznych zabaw jak były „pod kościołem”...

Misie w lutym 1937 r.

KIŚLAKÓWNA OLGA.

Nowy pożar

W numerze z dnia 1 lutego b. r. „G. P. R.” podaliśmy o pożarze w Międzyrzeczu przy ul. Lubelskiej, który w dniu 25. I. b. r. stawił około 10 domów.

Upłynęło zaledwie 5 dni, a już w nocy z 30 na 31 stycznia b. r. nowy pożar pochłonął szkołę żydowską w Międzyrzeczu przy ul. Brzeskiej.

W czasie pożaru był bardzo zagrożony sąsiedni dom Cytryniaka, cały róg domu opalił się już, ale dzięki enereicznej akcji ratowniczej straży pożarnych, dom uratowano.

Gdyby tego domu nie uratowano, poszłaby z dymem cała ulica Podłączna z powodu bliskiego sąsiedztwa budynków, w dodatku drewnianych.

Szkoła spaliła się doszczętnie.

Coś za często z tymi pożarami w Międzyrzeczu.

Z działalności Koła L. O. P. P. w Międzyrzeczu

W dniu 20 lutego odbyło się walne zebranie członków Koła L. O. P. P., na którym wybrano nowy Zarząd.

Nowy Zarząd ukonstytuował się i rozpoczął swą działalność.

W ostatnim tygodniu lutego odbył się Kurs O. P. L. G., który ukończyło 60 osób.

W programie swojej pracy Zarząd przewiduje w najbliższej przyszłości zorganizowanie podobnego Kursu dla szerszego ogółu tutejszego społeczeństwa.

Między innymi zamierzeniami tegorocznej pracy tutejszego Koła, jest wciągnięcie jaknajwiększej liczby członków i przez to uświadomienie jak najszerzych warstw

ludności w tej tak ważnej dla państwa dziedzinie, jaką jest Obrona Przeciwgazowa Państwa.

Nie mniejszą troską Zarządu będzie strona dochodowa, dlatego przewiduje się urządzenie różnego rodzaju imprez. Liczy więc na zrozumienie i współpracę społeczeństwa w popieraniu przedsięwziętych prac Zarządu przede wszystkim przez zapisywanie się na członków L. O. P. P.

Obowiązkiem członka jest nie tylko regularne uiszczanie składek miesięcznych, ale i werbowanie nowych członków, a przez to rozszerzanie zrozumienia ważności L. O. P. P.

Wyścig nad oceanem

W dniu 21 maja 1937 przypada dziesiąta rocznica przelotu nad Atlantykiem płk. Lindberga. Francuski min. lotnictwa Cot postanowił zorganizować w tym terminie międzynarodowe zawody lotnicze na trasie New York—Paryż. Dzienniki ogłaszają już warunki lotu opracowane przez Aeroklub Francji w porozumieniu z ministrem Lotnictwa.

Premje dla zwycięzców wyniosą 2 miliony franków. Pierwszą nagrodę za najszybsze przebycie przyniesie pilotowi milion franków, drugi — 500.000, trzecia — 300.000, a czwarta — 200.000 franków.

Sen, który trwał 25 lat

Z Johannesburga w Afryce południowej donoszą o niezwykłym wypadku przebudzenia się po 25

latach ze snu kataleptycznego. W roku 1911 zmarł w pobliżu Johannesburga młody farmer afrykański. Narzeczona jego, 20-letnia Anna Swanepell, na wieść o zgonie ukochanego, zemdląła i zapadła w sen. Mimo zabiegów najlepszych lekarzy, nie udało się chorej przywrócić do przytomności. Dopiero w bieżącym roku, po 25 latach chora przebudziła się nagle. Anna Swanepell sądziła po przebudzeniu, że żyje jeszcze w 1911 roku. Z największym zdziwieniem dowiedziała się o przemianach zaszłych w międzyczasie na świecie. Lekarze otaczają chorą największą troskliwością, aby uchronić ją przed nowymi wstrząsami. Między innymi pod różnymi pozorami odmawiają podania jej lustra, nie chcąc aby chora, która w czasie 25-letniego snu zupełnie osiwiła, a która mimo to wierzy, że ma wciąż jeszcze 20 lat, zobaczyła naocznie spustoszenia, jakie czas i choroby wywołały w jej urodzie, z której kiedyś słynęła na całą okolicę.



Czy już jesteś członkiem tutejszego Koła L. O. P. P.?

Prenumerata roczna 3 zł., półroczna 1.50 zł.,

Konto czekowe P.K.O. 64 973.

Ogłoszenia: Za wiersz milimetry jednoszpaltowy na stronie I-ej gr. 20, na str. 2 — 5 gr. 15, na str. 6-ej gr. 10. Drobne 10 gr. od wyrazu, najmniej 1 zł. Za tekst ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych artykułach.

Rękopisów nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji: Międzyrzec, ul. Piłsudskiego 105.

Redaktor naczelny: **Wacław Janicki.**

Redaktor odpowiedzialny: **Józef Szweń.**

Wydawca: Zarząd Oddziału Powiatowego Z. N. P. w Międzyrzeczu.

Druk. „RADJO” w Międzyrzeczu.